

Euromajdan, który nikogo nie obchodzi

24 lutego 2014

O tym, dlaczego nikt tak naprawdę nie dba o Ukrainę, naszym niezrozumieniu świata, niedostrzeganych wojnach oraz historii, która się nie wydarzyła. I „Falloucie”

Żyjemy w ciekawych czasach. Z jednej strony usypiamy się myślą, że od 1945 roku mamy pokój. Poklepujemy się po plecach, przyznajemy sobie nagrody za utrzymywanie tego pokoju i utwierdzamy w przekonaniu, że nikt nie odważy się rozjechać czołgami naszego podwórka. Z drugiej strony wciąż czytamy o kolejnych buntach, powstaniach, wojnach, wysyłamy wojska w coraz kolejne punkty zapalne świata, mydląc sobie oczy nazwami „pokojoye” i „stabilizacyjne”.

Gry z serii „Fallout” nauczyły nas dwóch ważnych rzeczy: po pierwsze, że nigdy nie mamy amunicji do posiadanej broni, po drugie zaś, że „wojna nigdy się nie zmienia”. A co ważniejsze, nigdy nie zmienia się nasz stosunek do wojny. Wyewoluowaliśmy jako gatunek bazujący na konflikcie i rywalizacji. Takie są motory naszego postępu. Dzięki nim wysłaliśmy człowieka w kosmos, badamy dna oceanów, coraz skuteczniej leczymy raka i podgrzewamy jedzenie w mikrofalówkach. Zdajemy sobie sprawę z okropieństw wojny, wciąż jednak podświadomie czujemy, że stanowi ona nasz żywioł i fascynujemy się nią, kręcąc o niej filmy, robiąc gry, pisząc książki i żądając od mediów ciągłego dostępu do informacji z miejsc, gdzie toczą się walki. Na przykład z Ukrainy.

Wszyscy śledzą wydarzenia mające miejsce w Kijowie, Lwowie i innych miastach naszego wschodniego sąsiada. Nie jestem wyjątkiem: również je śledzę. Tak samo uważnie, jak śledziłem wydarzenia w Syrii, Libii, Egipcie, Libanie, Mali i Kosowie. I nie wiem, czy ciekawsze i bardziej pouczające nie jest

śledzenie tych, którzy śledzą same wydarzenia. Dzięki temu można bowiem dojść do ciekawych wniosków.

Zaczniemy od Libii. Od 1 września 1969 roku była rządzona przez Muammara Kadhafiego, który obalił wówczas króla Idrisa. Daje to imponujący wynik ponad 40 lat. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości co do niedemokratyczności tych rządów. Na początku 2011 roku pod wpływem udanych rewolt w Tunezji i Egipcie zbuntowali się także Libijczycy. Rozpoczęła się wojna domowa, która może i by nikogo nie przejęła, gdyby nie dwie rzeczy. Po pierwsze, działo się to wszystko nieprzyjemnie blisko granic Europy, po drugie zaś, miała miejsce w kraju zaopatrującym sporą część Starego Kontynentu w ropę. Sojusz Północnoatlantycki musiał przypomnieć sobie o tym, że istnieje i zaczął interweniować.

Wszyscy śledzili wtedy doniesienia z Libii. Wszyscy przypomnieli sobie, że Kadhafi sprawował rządy dyktatorskie i wszystkim zaczęło to naraz przeszkadzać. Sam Kadhafi mógł być lekko zaskoczony tym, że czterdzieści lat z okładem zajęło europejskiemu społeczeństwu zrozumienie na czym polegają jego rządy, ale w końcu tak się stało. Oburzaliśmy się na strzelanie do Libijczyków, na łamanie praw człowieka, domagaliśmy się obalenia tyranii i ukarania despoty. No to despotę obalono, my zaś straciliśmy zainteresowanie.

A tymczasem Libia wciąż się nie może podnieść na nogi. Krajem rządzą autonomiczne milicje, plemiona co chwila szantażują Trypolis odcięciem dostaw ropy, przez co libijski rząd tańczy, jak kacykowie zagrają. Instytucje centralne i administracyjne albo nie istnieją, albo nie mają żadnego realnego znaczenia, Libia zaś od trzech lat jest równie stabilna, co niewprawny linoskoczek na batucie podczas huraganowego wiatru. Eksport ropy spadł z 1,25 mln baryłek przed wybuchem wojny do 390 tysięcy baryłek, jak 16 lutego 2014 roku podała National Oil Corporation (państwowa firma trzymająca 70% libijskiego rynku naftowego). Poskutkowało to między innymi wzrostem cen ropy jak i dodatkowym osłabieniem rządu w Trypolisie. Ale nikt na

to nie baczył. Wszyscy od dawna byli skupieni na Syrii.

A w Syrii straszliwy prezydent Baszar al-Asad był obalany przez lud. Długo i nieskutecznie, bowiem al-Asad wcale nie miał zamiaru dać się obalić. Żyliśmy tą wojną, każdego dnia czytaliśmy informacje o walkach w miejscowościach, których nie znaliśmy, o odbijaniu ulic, których nazwy nic nam nie mówiły i śmierci ludzi, których nazwisk nie rozumieliśmy. Pomstowaliśmy na człowieka, który wykorzystywał przeciw rebeliantom broń chemiczną i wysyłał na nich czołgi. Na portalach społecznościowych wrzucano mrozące krew w żyłach artykuły o bestialstwie wojsk rządowych. Z rzadka tylko jakieś głosy bąkały o tym, że rebelianci w sumie też święci nie są, ale to ignorowaliśmy. No i tak konflikt trwał i trwał... i trwa dalej, ale pojawił się nowy smakowity kasek: Euromajdan. Niestety Syryjczycy nie zrozumieli tego, że rychło utracą zainteresowanie świata. Dalej płynie tam krew, wybuchają bomby, trwają ciężkie walki i nic nie zwiastuje ich końca. Zupełnie nie zauważyli, że ludzie przestali ustawiać na Facebooku statusy nawołujące do obalenia al-Asada, wspierające rebeliantów lub składające się po prostu ze zniczy, ułożonych z dwóch nawiasów i apostrofu. A może to myśmy nie zauważyli, że w tej wojnie mało kto zwraca uwagę na nasze zainteresowanie lub poparcie...

21 listopada 2013 roku prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz odmówił podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, motywując to złą sytuacją finansową i gospodarczą Ukrainy. Nie ad saecula saeculorum, lecz do momentu otrzymania pakietu pomocowego, który wyciągnąłby kraj z zapaści. Można dodać, że do tejże zapaści Janukowycz doprowadził Ukrainę swoją konsekwentną polityką rozkradania wszystkiego, co nie było przyśrubowane do podłogi, tym niemniej taki był oficjalny powód jego decyzji. Jak się okazało, był to również powód do wyjścia opozycji na ulice i wybuchu masowych protestów. Już w nocy z 21 na 22 listopada miały miejsce pierwsze demonstracje, zrazu skierowane tylko przeciw niepodpisaniu umowy i rządowi

Janukowycza, kiedy jednak strona rządowa przystąpiła do pacyfikowania demonstrantów, zaczęła się nakręcać spirala przemocy. Zaczęły padać coraz ostrzejsze hasła, padły pierwsze strzały, to co zaczęło się jako demonstracje, zaczęło się przemieniać w walki uliczne.

No i co?

No i nic. Bo jeżeli strona opozycyjna nie zdoła w miarę nieodległym terminie zamknąć sprawy, gdzieś na świecie rozpocznie się kolejny konflikt, kolejny punkt na mapie wybuchnie krwawym płomieniem, a o Majdanie wszyscy zapomnimy. Środki finansowe zostaną przekierowane, korespondenci wysłani w inne miejsce, a opinia publiczna skupi się na nowej rozróbie. Proszę się nie obruszać na użycie przeze mnie tego kolokwializmu, zrobiłem to w pełni celowo i już się z tego tłumaczę.

Historia powtarza się, ponieważ nikt nie słuchał za pierwszym razem. Jeśli przyjrzymy się poprzednim konfliktom, rychło zauważymy pewne prawidłowości. Pierwsza i najważniejsza to nasza nieustająca, całkowita i automatyczna wiedza, kto jest dobry, a kto zły. Nikt nigdy nie zwracał uwagi na ekspertyzy specjalistów, apriorycznie zakładaliśmy zawsze, że rebelianci to ci „dobrzy” a rząd „źli”. Oczywiście jest prawdą, że Mubarak, Kadafi, al-Asad i im podobni nie należeli do aniołów, jednak mało kto zadawał sobie pytanie o postawę i poglądy ich przeciwników. Wystarczyło nam za każdym razem usłyszeć, że walczą o wolność. W dzisiejszym świecie każdy mówi o wolności, mało kto jednak na poważnie zastanawia się co ona oznacza i z czym się wiąże. Nie przyglądamy się bliżej stronom konfliktów, nie interesują nas ich motywacje ani metody działania, nikt nie pyta się jak oni tą wolność rozumieją. I czy w ogóle rozumieją.

Nieznajomość stron konfliktu wynika z tego, że mało kto zna uwarunkowania samych konfliktów. Coraz słabiej znamy genezę tego, co się dzieje na świecie. Coraz mniej interesuje nas

historia innych państw i naszego własnego, coraz mniej wiemy o polityce innych krajów i naszej. Zmniejsza się nasza wiedza o świecie, w którym żyjemy. Zmienia się nasze rozumienie otaczającej nas rzeczywistości.

W czasach, kiedy wojna była jeszcze obecna w naszym postrzeganiu świata, rozumieliśmy ją i rozumieliśmy, co niesie ze sobą konflikt. Inaczej o nim myśleliśmy. Gdy 28 marca 1942 roku RAF przeprowadził nalot na Lubekę, w wyniku bombardowania całkowicie zniszczono 7% miasta, 10% niemal zniszczono zaś pozostałe 44% zostało w mniejszym lub większym stopniu uszkodzone. Do słownika pilotów alianckich bombowców weszło wtedy określenie „zrobić Lubekę”, oznaczające zrównanie miasta z ziemią. Uznano to za cyniczny, okrutny żart, dopuszczalny tylko dlatego, że toczono bezpardonową walkę z „Hunami”, która dopuszczała każdy chwyt. Gdy z kolei berlińczycy wspinali się na sterty gruzów, w jakie zmieniała się pod koniec wojny stolica Niemiec, można było słyszeć, jak żartują „Jeszcze kilka nalotów i Berlin stanie Alpami”, co z kolei było świadectwem odporności i determinacji mieszkańców miasta. A teraz proszę sobie wyobrazić, że Amerykanie żartują sobie ze niszczonego Londynu i ginącej ludności cywilnej, Brytyjczycy zaś nazywają udane zaskoczenie kogoś określeniem „przyłapać jak Jankesów w Pearl Harbor”. Wywołałoby to co najmniej uczucie głębokiego niesmaku. Tymczasem dzisiaj uważamy za zabawne zdjęcia z podpisem „Fallout: New Kiev” lub zdjęcia protestujących na Majdanie z określeniami klas zapożyczonymi z gier RPG.

Najbardziej jaskrawym przykładem jest oczywiście porażający brakiem wyczucia (bardziej adekwatne słowa, którymi określałem go prywatnie, nie nadają się do druku) artykuł w „Glamour” o „modnych rewolucjonistkach na Majdanie”. Jest on jednak tylko wierzchołkiem góry lodowej, miernikiem tego jak bardzo zapomnieliśmy, czym jest wojna. Niedostrzegalnie zmieniała się ona w zjawisko popkulturowe. Stała się okazją do wznoszenia haseł o wolności lub o żądzy ropy. Nasza ignorancja w

kwestiach politycznych, społecznych, kulturowych i historycznych sprawiła, że interesuje nas już nie konflikt i to, co za nim idzie, lecz właśnie „rozróżba”. Fakt dziania się czegoś, co wykracza poza naszą nudną rzeczywistość. Takie wydarzenia nas fascynują, kuszą swoją niecodziennością, swoistą egzotyką. Coś, co kiedyś by nas faktycznie przerażało, dziś wymyka się naszemu zrozumieniu, sprowadza się do „rozróżby”.

Najlepszą miarą tego, jak bardzo nie rozumiemy danego konfliktu, jest ilość grup poparcia na Facebooku, wspierających „tweetów” lub świeczek zapalonych w oknach. To swoisty atawizm, pozostałość czasów, gdy obycie i znajomość świata były niezbędne do funkcjonowania w towarzystwie. Pamiętamy, że należy być świadomym tego, co się dzieje, ale zapomnieliśmy, jak to robić. „Lajkujemy” więc i „tweetujemy” filmiki z YouTube’a, co jest współczesnym ekwiwalentem zabierania głosu i zajmowania stanowiska. Manifestujemy swoje poparcie, nie próbując dowiedzieć się, kogo popieramy, kogo zwalczamy i jaki właściwie ciężar znaczeniowy ma nasza manifestacja. Bardzo nieliczne osoby od początku zdawały sobie sprawę, że Bractwo Muzułmańskie jest jedną z najstarszych organizacji fundamentalistycznych i ksenofobicznych w Islamie, al-Asada zwalcza między innymi al-Kaida i Hamas, kryzys w Grecji wynikł ze skrajnej nieodpowiedzialności finansowej i gospodarczej Greków a zauważalna część protestujących na Majdanie odwołuje się do UPA.

Historii nie tworzą wydarzenia, lecz reakcje i procesy. Kiedy Aristide Briand i Frank Kellog podpisali 27 sierpnia 1927 roku pakt mający położyć kres wojnom, nie wynikło z niego absolutnie nic, sam zaś pakt bywa dziś wspominany raczej jako kuriozum w historii dyplomacji. Wielkie dyplomatyczne wydarzenie, o którym żywo dyskutowano, okazało się nie mieć żadnego wpływu na historię. Kiedy więc patrzeliśmy na Arabską Wiosnę, ale nie podejmowaliśmy żadnych kroków i twierdziliśmy, że zmienia się historia, mogliśmy się spodziewać, że sytuacja

nie ulegnie zmianie. I dziś widzimy, że faktycznie niewiele się zmieniło, a jeśli już – to na gorsze. I tak samo będzie z Majdanem: pozostawiony samemu sobie, tylko z deklarowanym wsparciem moralnym i palonymi w oknach świeczkami, zamieni się we wzmiankę w podręcznikach historii, która z czasem będzie coraz bardziej lakoniczna, aż w końcu zniknie. Chyba, że pokażemy nasze zainteresowanie i zażądamy działań. No, ale by to zrobić, musielibyśmy najpierw sami zrozumieć to, co tam się dzieje, co się działo i co może się stać. Musielibyśmy zrozumieć proces, jaki ma miejsce, poznać jego genezę, przewidzieć skutki. Dowiedzieć się, co doprowadziło świat do obecnego kształtu.

Albo możemy dalej wysyłać sobie filmiki na YouTube, ustawiać zaangażowane statusy, „lajkować” dziesiątki stron i wierzyć, że jesteśmy świadkami Historii.

Autor: Przemysław Mrówka

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)